Filozofia Nauki
Rok VIII, 2000, Nr 2(30)

Zdzisława Piątek

O «strategii magicznej» w kontekście języka raz jeszcze

Po lekturze wypowiedzi Pana Doktora Tadeusza Skalskiego „«Strategia magiczna» i... pomost ku ludzkiej mowie" (*Filozofia Nauki*, nr 1(29)/2000) stwierdziłam, że podzielam podstawowe założenia ontologiczne, które on przyjmuje, a mimo to różnice między nami nie są iluzoryczne. Zdecydowanie nie podzielam mianowicie jego poglądów dotyczących *strategii magicznej* i pojęcia *emergencji* oraz jego oceny naturalizacji umysłu à la Searle.

Mam wrażenie, że nie tylko zupełnie inaczej używamy określenia *strategia magiczna*, ale parafrazując powiedzenie ze znanej bajki, im dokładniej analizuję argumentację Skalskiego, tym bardziej się z nią nie zgadzam. Podstawowa różnica między naszymi poglądami rozwijanymi w dyskusji polega na tym, że używa on pojęcia *strategii magicznej* w szerszym znaczeniu aniżeli to, które ja przyjmuję, a ponadto zapoznaje podmiotowe warunki konieczne do tego, aby było możliwe stosowanie strategii językowej. Skalski marginalizuje moje doprecyzowanie *strategii magicznej* jako działania, w którym staramy się osiągnąć cel bez odpowiednich środków, gdyż z jego punktu widzenia w *strategii magicznej* istotne jest *życzenie*, a właściwie zakotwiczenie *życzenia* w kauzalnym porządku natury. Zupełnie nie interesują go podmiotowe warunki skutecznego stosowania strategii językowej. Zapewne tylko dlatego zalicza on także do magicznej strategii *językowo-życzeniowej* sterowanie telewizorem lub pralką automatyczną. Sądzę, że jego rozumienie *strategii magicznej* odpowiada temu, co Searle nazywa *intencjonalnością przyczynową*, podkreślając, że niektóre stany intencjonalne mają moc przyczynową. Ale moc przyczynowa mojego „Chcę oglądać dziennik telewizyjny i włączam sprawny telewizor" nie ma nic wspólnego ze strategią magiczną, mimo że nie wiem jak działa wnętrze telewizora. W przeciwieństwie do Skalskiego, nie utożsamiam pojęcia *strategii magicznej* z pojęciem *myślenia życzeniowego*, gdyż to ostanie ma — w moim rozumieniu — szerszy zakres. Nie każ-

de bowiem myślenie życzeniowe jest myśleniem magicznym, chociaż każde myślenie magiczne jest myśleniem życzeniowym. Dlatego też przytoczony przez niego przykład magicznej strategii językowej polegający na tym, iż używając zabiegów określanych jako molestowanie przy użyciu słów, potrafi on skłonić pana X do spełnienia swojego ściśle określonego życzenia, nie jest przykładem *strategii magicznej*. Życzenie, o którym mowa, polega na tym, aby w ściśle określonym terminie pan X zjawił się w senacie i wygłosił zdanie: *Posiedzenie senatu zostało odwołane*. Językowe molestowanie pełnosprawnego pana X obdarzonego umysłem, w celu spełnienia wyżej sformułowanego życzenia, ma być analogiczne do molestowania chmury przez Czarnoksiężnika, w celu sprowadzenia deszczu. Nie wnikając w rozwlekłe uzasadnienie, powiem krótko, że przykład ten byłby dla mnie przykładem strategii magicznej wówczas, gdyby pan X miał zamiast mózgu trociny i mimo to molestowanie przy użyciu języka zachowałoby swoją moc.

Moim zdaniem Skalski, zafascynowany językowym zakotwiczaniem życzeń w rzeczywistości, przecenia skuteczność perswazji językowej w sterowaniu zachowaniem i nie dostrzega ograniczeń nakładanych we wszystkich kulturach na używanie słów, o czym dobitnie świadczy przykład Rushdiego, nie wspominając o innych heretykach spalonych na stosie za to, co mówili. Gdyby strategia językowa była rzeczywiście magicznie skuteczna, to niemal wszyscy kochalibyśmy bliźniego swego, respektowalibyśmy imperatyw kategoryczny Kanta, nie byłoby ksenofobii, nepotyzmu i tym podobnych zjawisk. Ileż to wyrafinowanych zaklęć wypowiedzieli już filozofowie-moraliści w celu wyeliminowania tych zjawisk z życia społecznego! Zaklęcia te okazały się jednak równie nieskuteczne, jak zaklinanie chmury przez Czarnoksiężnika. Różnica zdań wyrażona w dyskusji na temat strategii magicznej — to nie jest tylko różnica czysto werbalna, gdyż wówczas nie warto byłoby dyskutować. Ja nie tylko inaczej rozumiem pojęcie *magii*, ale ponadto uważam, że przywoływanie magii w kontekście używania języka niczego nie wyjaśnia, lecz wprowadza w błąd.

Z mojego punktu widzenia, w kontekście manipulowania zachowaniem przy użyciu słów, o wiele ciekawszy jest problem badania **warunków skuteczności** językowej perswazji, a nie eksponowanie jej magicznej mocy. Sądzę, że Searle sygnalizuje ten problem stwierdzając, że stany intencjonalne, takie jak np. życzenia, po części określają, pod jakimi warunkami mogą być spełnione. Warto byłoby rozważyć, dlaczegóż to Hitlerowi tak łatwo udało się przekonać Niemców do budowy obozów zagłady dla ludzi «niższej rasy», a Putinowi udało się wygrać w pierwszej turze wybory prezydenckie mimo ogromnych ofiar i okrucieństwa wojny w Czeczenii? Widocznie potrzeba potwierdzenia ambicji mocarstwowych Rosjan jest silniejsza niż głód i zagrożenie izolacją na arenie międzynarodowej. Sądzę, że niezwykle ciekawe byłoby zbadanie, w jaki sposób czynniki wewnętrzne, obecne w umyśle osoby molestowanej za pośrednictwem języka, wpływają na skuteczność językowych zaklęć. Ten wymiar funkcjonowania języka jest jednak całkowicie pominięty w rozważaniach Skalskiego. Jest on pominięty zarówno w kontekście wypowiedzi na temat manipulowania zachowaniem ludzi, jak i koczkodanów. Są takie szczególne sytuacje, np. w czasie woj-

ny, w których zaklęcia językowe (rozkazy) są spełniane niemal magicznie, bez perswazji i molestowania. Warto także zauważyć, że gdyby pana X spełniający życzenia Skalskiego w przywoływanym przykładzie, okazał się konsekwentnym kantystą, który wcześniej złożył przyrzeczenie, że nigdy nie przestąpi progów senatu, to moc językowych zaklęć okazałaby się wobec pana X całkowicie bezskuteczna niezależnie od tego, że rozumiałby on doskonale jego życzenie.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego w eksperymencie pomyślanym, w którym TS chce się zmierzyć z resztą świata w skuteczności manipulowania zachowaniem pana X, reszta świata ma do dyspozycji zdobycze nauki i jedynie fonetyczny wymiar języka polskiego, a zwycięstwo TS dysponującego semantyką tego języka miałoby oznaczać klęskę nauki pokonanej przez magię. Sukces nauki nie polega przecież na tym, żeby mając tak precyzyjne urządzenie, jakim jest umysł, sterować nim za pośrednictwem oddolnej kauzalności. W moim rozumieniu sukcesem nauki będzie adekwatne rozpoznanie struktury umysłu «wyrastającego» z mózgu i zbadanie sposobów jego funkcjonowania. Innymi słowy całkowicie zgadzam się ze Skalskim, że pojawienie się języka było milowym krokiem w ewolucji różnorodnych strategii sterowania zachowaniem w celu spełniania życzeń. Jednakże — w przeciwieństwie do niego — podkreślam doniosłość umysłowych mechanizmów warunkujących możliwość spełniania życzeń za pośrednictwem strategii językowej. Podobnie jak spełnienie życzenia oglądania dziennika wymaga naciśnięcia guzika sprawnego urządzenia skonstruowanego przez inżynierów, tak też spełnianie życzeń wyrażonych w słowach wymaga sprawnego adresata tych życzeń obdarzonego umysłem skonstruowanym przez ewolucyjnego Majsterkowicza. Ewolucyjny Majsterkowicz dał nam do dyspozycji to urządzenie, podobnie jak nietoperzom dał do dyspozycji echolokację. Umysł jest urządzeniem umożliwiającym sterowanie otoczeniem za pomocą słów; nic dziwnego więc, że bez tego urządzenia słowa tracą swą sterującą moc w odniesieniu do przyrody pozaludzkiej, całkiem podobnie jak telewizyjny pilot traci swą moc w wypadku, gdy za jego pośrednictwem usiłowalibyśmy sterować akwarium. Osobiście, za największe osiągnięcia naukowe ubiegłego tysiąclecia uważam rozpoznanie tego, jak bardzo skomplikowane mechanizmy komórkowe tkwią u podłoża sprawnego funkcjonowania nawet najprostszej istoty żywej; jak niewyobrażalnie złożone są mechanizmy sterowania rozwojem ontogenetycznym, w którym ze stadium zygoty dochodzi do wykształcenia tak różnorodnych struktur i funkcji, jakie obserwujemy u dojrzałego osobnika. W strategii językowej interesują mnie warunki umożliwiające jej stosowanie, czyli funkcjonowanie umysłu, a więc to, co mojego oponenta zupełnie nie interesuje wówczas, gdy mówi o *magicznej strategii językowej*. Myślę, podobnie jak Skalski, że psychologia i semantyka są ze sobą ściśle związane, a nauka nie wypiera tradycyjnej semantyki lecz szuka dla niej głębszego ugruntowania. Krytyka *folk-psychologii* dokonana przez Churchlanda ma na celu zastąpienie jej przez adekwatniejszy model poznawczy, gdyż to właśnie *folk-psychologia* pozwala ustalić, że język za pomocą fragmentarycznych wskazówek potrafi wyzwalać niezwykle skomplikowane konstrukcje kognitywne. Churchland nie przeczy, że język jest systemem kon-

strukcji znaczeń, szuka on jednak głębszej strukturalizacji wiedzy wykorzystywanej w generowaniu znaczeń — wiedzy, której nie da się w pełni uchwycić metodami algorytmicznymi. Sądzę, że szuka on struktur semantycznych głębszych od pojęć, które na najbardziej podstawowych poziomach mogłyby generować znaczenie przez ogólnopoznawcze a nie tylko specyficznie językowe operacje, gdyż elementarne relacje semantyczne dziecko przyswaja sobie obcując nie tylko z językiem, ale przede wszystkim ze światem. W moim rozumieniu wiedza naukowa, do której Churchland się odwołuje, nie wypiera semantycznego aspektu języka, tylko go inaczej strukturalizuje. Dlatego też strategia używania języka naturalnego w kierowaniu zachowaniem innych ludzi, nie jest — wbrew sugestiom Skalskiego — konkurencyjna w stosunku do naukowego badania kompetencji językowej. Naukowcy nie wyeliminują nauczycieli języków, tak samo jak mechanika relatywistyczna nie wyeliminuje mechaniki newtonowskiej w warsztatach naprawy samochodów.

Jednym z elementów ewolucyjnego sukcesu gatunku ludzkiego jest możliwość pozagenetycznego gromadzenia i transmitowania wiedzy o świecie. Tak wielki zakres informacji, jaki jest zawarty w językach etnicznych, nie może być zakodowany w języku informacji genetycznej i zmagazynowany w jądrze komórkowym, gdyż jądra komórkowe nie pomieściłyby tak ogromnej ilości DNA, bez zakłócenia ich podstawowych funkcji. Wynika z tego, że znajomość któregokolwiek konkretnego języka etnicznego nie może być zapisana w języku kodu genetycznego, bo nie ma na to dość miejsca w jądrach komórek. Zatem niemożliwe jest, żeby znajomość konkretnego języka etnicznego była wrodzona podobnie, jak schematy zachowania karalucha. Ludzie zawsze będą musieli uczyć się języków w zetknięciu z wypowiedziami nauczanego języka, gdyż nie ma innego sposobu, żeby w umyśle konkretnego osobnika powstała kompetencja językowa, którą dopiero wówczas można by sterować podobnie jak zachowaniem karalucha. Sądzę jednak, że po to, aby było możliwe mechaniczne sterowanie zachowaniem językowym, podobnie jak przedstawione w BBC sterowanie zachowaniem karalucha, kompetencja językowa musiałaby być odwzorowana w mózgu algorytmicznie. Gdyby bowiem kompetencja językowa była odwzorowana koneksjonistycznie lub w sposób mieszany, to ów operator z BBC sterujący zachowaniem karaluchów, który tak zachwycił Skalskiego, mógłby tylko w przybliżeniu sterować zachowaniem językowym człowieka. Nauka i technika nie wyeliminują więc nauczycieli języków, mogą tylko stwarzać wyrafinowane techniki nauczania i w ten sposób mogą pośredniczyć w procesach nauczania.

Na podobnym nieporozumieniu zasadza się stwierdzenie Skalskiego, że emergentyzm jest wyznaniem filozoficznej wiary nie mającej nic wspólnego ze stanem naszej wiedzy o świecie. Emergentyzm to nie jest magiczny zabieg słowny umożliwiający wyjaśnienie wszystkiego. Emergentyzm, jak ja go rozumiem — i sądzę, iż jest to rozumienie zbieżne z używanym w nauce — polega na stwierdzeniu, że w wypadku powstawania nowych systemów z odpowiednio zestawionych elementów składowych (podsystemów), nowy system wyższego rzędu przejawia nowe własności nie przysługujące elementom składowym. Nowe własności przysługujące nadrzędnej całości

systemowej są osadzone zarówno na nowym zestawieniu elementów, jak i na ich własnościach, mimo że oddzielnie własności elementów tworzących system mogły być całkiem inne. Emergentyzm jest w moim przekonaniu opisem faktycznego stanu rzeczy — to znaczy tkwiącego u podstaw ewolucji twórczego jednoczenia rozmaitych podsystemów w funkcjonalne całości — a nie filozoficznym zaklęciem. Sądzę, że moje rozumienie emergentyzmu jest spójne z założeniami ontologicznymi, które wspólnie akceptujemy. Skalski zgadza się zarówno z tezą realizmu ontologicznego, jak i z twierdzeniem, że świat ma jakąś obiektywną strukturę wpływającą na nasze używanie języka, gdyż nauka języka ojczystego w rozwoju indywidualnym nie polega na stwarzaniu świata, lecz na uchwyceniu, w jaki sposób język zazębia się ze światem. Ewolucja twórcza integrująca już istniejące systemy funkcjonalne i strukturalne w zhierarchizowane systemy wyższego rzędu jest procesem kumulatywnym, zatem nie wszystko jest możliwe. Czyste inteligencje, czyli Anioły, podobnie jak świadomość, nie dadzą się wywieść **bezpośrednio** z materii nieożywionej z tego samego powodu, z którego niemożliwe jest samorództwo, czyli powstawanie much z rozkładającego się mięsa, węgorzy z mułu, a bakterii z siana. Współczesny emergentyzm stwierdza natomiast, że fizykalne struktury DNA mogą, w oddziaływaniu ze środowiskiem, budować skomplikowane układy ożywione przejawiające specyficzne, niefizykalne własności życia — takie jak: odczuwanie, celowość, myślenie, itp. Zdolność do odczuwania i myślenia pojawia się (fulguruje) w systemach ożywionych — podobnie jak prąd po zamknięciu obwodu elektrycznego. Ewolucja jest procesem kumulatywnym i dlatego w swoim przebiegu przekształca, łączy i modyfikuje już istniejące elementy w nowe strukturalne całości. Stąd skrzydła ptaków powstały z przekształconych kończyn ich gadzich praprzodków, a «skrzydła» nietoperzy przez rozciągnięcie błon między palcami. Naturalizacja Aniołów, nawet tych antropomorficznie przedstawianych na obrazkach, nie jest jednak możliwa na gruncie emergentyzmu. Jak to wykazał Dawkins w ostatnim rozdziale *Ślepego zegarmistrza,* skrajnie nieprawdopodobne jest żeby Anioło-człowiek zachował ręce i żeby opierzone ptasie skrzydła wyrosły mu ze środka pleców. I chociaż trudno jest przewidzieć, jakie nowe twory powstaną w przebiegu procesów ewolucyjnych, to jednak nie wszystko jest możliwe. To, co jest możliwe, a co możliwe nie jest przy założeniu emergentyzmu, można określić na podstawie znajomości rzeczy, a nie w wyniku utarczek słownych.

Naturalizacja świadomości zaproponowana przez Searle'a nie ma nic wspólnego z wyłanianiem się Aniołów z materii nieożywionej. Searle twierdzi bowiem, że do powstania ludzkiej świadomości potrzebne były wszystkie etapy filogenezy *homo sapiens*. Dlatego odrzuca silną wersję tezy AI, zgodnie z którą komputery myślą i posiadają umysły. Podkreśla on także rolę oddolnego oddziaływania kauzalnego w specyficznym funkcjonowaniu ludzkiej świadomości. Sądzę, że to oddolne oddziaływanie kauzalne w obrębie ludzkiej świadomości jest zbieżne z modelem tzw. Wieży Generowania i Testowania zaproponowanym przez Dennetta. Poszczególne funkcjonalnie zróżnicowane piętra tej wieży wyewoluowały w filogenezie człowieka i są równie realne jak anatomiczno-fizjologiczne struktury ludzkiego ciała, na którym one super-

weniują. Znaczy to, mówiąc językiem Poppera, że zjawiska psychiczne (W2) i uniwersum znaczeń (W3) są równie realne jak świat obiektów fizycznych (W1). Świat wiedzy obiektywnej jest tworem gatunku ludzkiego, podobnie jak pajęczyna jest tworem pająków. Kiedy zatem psychiatra stosuje terapię słowną, to za pośrednictwem tworów trzeciego świata posiadających nośniki fizyczne (słowa) oddziaływa na twory drugiego świata, czyli na zjawiska psychiczne, a te z kolei w określony sposób (za pośrednictwem systemu hormonalnego i emocjonalnego) działają na ciało, w tym również na mózg. Nie można więc przy użyciu słów zregenerować brakującego kawałka mózgu, ale można modyfikować jego funkcjonowanie. Psychoterapeuta nie zachowuje się zatem jak zaklinacz deszczów, bo mózg i umysł związany z jego funkcjonowaniem — to nie jest zwykły kawałek przyrody, taki jak chmury. Poznanie funkcjonalnego aspektu mózgu, czyli umysłu, wymaga zrozumienia jego ewolucyjnej historii liczącej trzy miliardy lat. Ma on tę historię zawartą w swoich strukturach i bez tego filogenetycznego wymiaru funkcjonowanie umysłu wydaje się magiczne. Nie wiem, jak mój oponent klasyfikuje ontologię Poppera, być może jako „uroczy materializm", ale znaczenia (uniwersum znaczeń) i umysły istnieją w niej równie realnie, jak ich fizyczne wehikuły. Żadna ze znanych mi odmian materializmu nie jest tak prymitywna, żeby redukowała umysł do mózgu, a język — do fonetyki.

To prawda, że kiedy zaczynamy mówić o *treściach*, *znaczeniach* i *myślach*, to jesteśmy stosunkowo bezradni. Dzieje się tak zapewne dlatego, że — jak zauważył Churchland — znacznie lepiej znamy otaczający nas świat fizyczny aniżeli mózg i własny umysł. I co więcej, naukowe badanie umysłów zapoczątkowane przez nauki kognitywne w drugiej połowie XX wieku, jest nieustannie krytykowane przez filozofów. Ja nie akceptuję dychotomii, obligującej do uznawania umysłu za kawałek materii albo za coś pozanaturalnego. Podobnie jak mój oponent, należę do tych przedstawicieli filozofii i nauk szczegółowych, którzy uważają, że również pozaludzkie istoty żywe są obdarzone umysłami posiadającymi tzw. bezwiedną intencjonalność oraz wiedzę o tych aspektach środowiska, które są dla nich ważne ze względu na przeżycie. Nie dysponując samoświadomością ani językiem pojęciowym, istoty żywe potrafią robić wiele rzeczy niezwykle sensownych, ale i — bezsensownych. Potrafią wędrować z tropików do Kanady — jak niektóre motyle, odnajdywać strumień, w którym wykluły się z ikry — jak łososie, budować wspaniałe altany w celu zwabienia samicy i przejawiają wiele innych zachowań przyprawiających precyzją o zawrót głowy. Natomiast za bezsensowne uważam niektóre zachowania istot, które niczego nie potrafią się uczyć i przez to nie potrafią skorygować swojego zachowania w stosunku do zaistniałej sytuacji. Wskazałabym tu jako przykład — opisane przez Dawkinsa zachowanie osy grzebaczowatej. Samica osy grzebaczowatej, wracając do swego ziemnego gniazda z użądloną ofiarą, ma zwyczaj pozostawiać ją na chwilę na zewnątrz norki, sama zaś sprawdza w środku, czy wszystko jest w porządku i dopiero potem wciąga zdobycz do środka. Jeżeli eksperymentator odsunie użądloną ofiarę kilka centymetrów od norki, w czasie gdy osa jest w środku, to po wyjściu na powierzchnię osa odnajduje odwleczoną ofiarę i z powrotem zaciąga ją w pobliże wejś-

cia do norki, pozostawia ją i ponownie sprawdza wnętrze norki, mimo że od ostatniego sprawdzania upłynęło zaledwie kilka sekund. Eksperymentator może odciągać zdobycz od norki nawet sto razy, aż do znudzenia, osa jest tak zaprogramowana, że za każdym razem powtarza całą procedurę raz jeszcze. Z ludzkiego punktu widzenia zachowanie osy jest bezmyślne, gdyż jest całkowicie zrutynizowane i — jak zauważa Dawkins — *osa zachowuje się jak pralka automatyczna, której programator cofamy sto razy na jedynkę i jest jej obojętne, że za każdym razem pierze to samo pranie* (Dawkins, *Rzeka genów*, s. 103). Jest oczywiste, że zachowanie osy jest bezsensowne w sytuacji stworzonej przez eksperymentatora. W normalnych warunkach wrodzony schemat zachowania jest — być może — strategią zabezpieczającą przed zagrożeniem typu Konia Trojańskiego. Podobnie jak Skalski, nie należę do filozofów, którzy są przekonani, że świat bez człowieka byłby chaosem i byłby całkowicie pozbawiony sensu, albo że ludzki umysł zadaje prawa natury i określa struktury świata przyrody danej nam w doświadczeniu. Nie znaczy to jednak, że nie dostrzegam, iż wykorzystując fabulacyjne zdolności ludzkiego umysłu, możemy przy pomocy języka stwarzać światy mityczne, a nawet — używając określenia mojego oponenta — „frucle, prucle i bartole". Możemy bowiem manipulując słowami stwarzać różnorodne twory trzeciego świata, które transmitowane za pośrednictwem tradycji trwają na zewnątrz jednostki podobnie jak świat fizyczny i stanowią istotne elementy antroposfery nadbudowanej na świecie przyrody.

Zgadzam się także ze Skalskim, że język pojęciowy mógł powstać z prób manipulowania zachowaniem przy pomocy aparatu artykulacyjnego, na tym bowiem polegają wszystkie wrodzone krzyki ostrzegawcze i nie ma w tym nic magicznego. Zaproponowany przez Skalskiego scenariusz powstania zalążków języka na przykładzie zachowania koczkodanów jest całkiem możliwy. Okrzyk „Na lamparta" nie jest niczym nadzwyczajnym, bo daje się wyjaśnić jako wrodzony mechanizm zachowania uruchamiany w sytuacji pojawienia się lamparta. Jednakże z mojego punktu widzenia, rzecz niezwykle ciekawa i kluczowa ze względu na powstanie języka wydarzyła się już wówczas, kiedy w zamierzchłej przeszłości, okrzyk „Na lamparta" został sprzężony z obecnością lamparta, czyli z obecnością tego obiektu, który sygnalizuje. Ukształtowanie się ekstensji tego sygnału jest równie ciekawe jak jego intensja, czyli określenie, które własności lamparta są w świecie koczkodanów istotne w określaniu „lampartowatości". Ciekawe byłoby zbadanie, czy koczkodany różnicują klasę drapieżnych kotów, i czy odróżniają lamparty od gepardów i lwów, czy też jakieś cechy wspólne drapieżnym kotom określają znaczenie okrzyku „Na lamparta", i tym samym jego znaczenie jest nieodróżnialne od znaczenia okrzyku „Na tygrysa". Mogę sobie także wyobrazić, że jakiś stary niedowidzący koczkodan mógł przez pomyłkę wyemitować okrzyk „Na lamparta" pod nieobecność lamparta, oddzielając tym samym sygnał od tego, co on sygnalizuje, i mógł umieścić na drzewach swoich współtowarzyszy, mimo że w pobliżu nie było lamparta. Twierdzę jednak, wbrew Skalskiemu, że właściwe koczkodanom poczucie strachu przed lampartem było potrzebne i że było istotnym elementem we wstępnej fazie tej manipulacji zachowaniem za pomocą

głosu. Można bowiem manipulować zachowaniem koczkodanów wydając okrzyk „Na węża", „Na lwa", „Na niedźwiedzia", ale nie „Na kamień", „Na księżyc", czy „Na wiatr", gdyż te ostatnie, jako obiekty nie zagrażające w walce o przetrwanie, są neutralne i nie budząc strachu, nie wywołują żadnej reakcji. Z mojego punktu widzenia manipulowanie przez koczkodana A zachowaniem koczkodana B nie przypomina strategii zaklinacza deszczu, gdyż skuteczność tego wokalnego manipulowania zasadza się na wspólnej obu małpom wrodzonej informacji o środowisku. Dlatego też, w moim przekonaniu, okrzyk „Na lamparta", nie jest platońską fikcją, lecz oznacza lamparta, inaczej byłby bez sensu z biologicznego punktu widzenia i jego znaczenie nie zostałoby wbudowane w genotyp koczkodanów. Sądzę, że w świecie koczkodanów tylko przez przypadek okrzyk mógł zostać oderwany od tego, co oznacza. Potem historia mogła narastać lawinowo, doprowadzając do arbitralności dźwięków i znaczeń w ludzkich językach etnicznych (z wyjątkiem onomatopei).

Sądzę także, że dopóki umysłu koczkodanów nie można strukturować niezależnie od dyspozycji wrodzonych, to znaczenie okrzyku oderwanego od obecności lamparta mogłoby wygasnąć podobnie, jak znaczenie zapalonego światła oznaczającego pożywienie, w wypadku odruchu warunkowego u psa Pawłowa. Dopiero wówczas, kiedy wyartykułowane okrzyki przekształciły się w słowa, stały się niezwykłymi narzędziami do manipulowania umysłami innych. Słowa umożliwiły sygnalizowanie zarówno tego, co zachodzi w otoczeniu, jak i tego, co zachodzi w umysłach, a także ukrywanie tego, co naprawdę zachodzi w czyimś umyśle — czyli wprowadzanie w błąd.

Zgadzam się także z moim oponentem, że jeżeli dokładnie przyjrzymy się, w jaki sposób dziecko uczy się języka ojczystego, to relacja referencji traci wiele ze swej tajemniczości, a ponadto od siebie dodam, że strategia magiczna traci wiele ze swojej magii. Moim zdaniem, „dotykanie przedmiotów głosem" zasadniczo różni się od dotykania przedmiotów rękami, dlatego że dotykanie rękami może dotyczyć jedynie ściśle określonych tworów zlokalizowanych czasoprzestrzennie i obecnych tu i teraz. Natomiast „dotykanie głosem" może dotyczyć tworów nieobecnych tu i teraz (dokonało się to w momencie oderwania sygnału od obiektu sygnalizowanego). Słowa są transparentne i posiadając umysły można nimi manipulować o wiele swobodniej aniżeli rzeczami. Słowa umożliwiają różnorodną i wyrafinowaną strukturalizację świata, zarówno tego, który jest w polu widzenia, jak i tego, którego nie ma. Dlatego właśnie mając na uwadze okrzyk koczkodana „Na lamparta" Skalski sądzi, że jest to przykład platońskiej fikcji, ja zaś sądzę, że jest to przybliżony «opis» tych aspektów świata, które są ważne dla koczkodanów. Możemy się zatem spierać o to, czego koczkodany „dotykają głosem", ale nie spieramy się o to, czego dotykają rękami. Rozumiem, że kiedy Quine mówi o nieokreśloności przekładu, to chce podkreślić nieokreśloność „dotykania głosem" i nic więcej. Gdyby koczkodany przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków zrywały np. banany, to moim zdaniem takie używanie strun głosowych nie miałoby nic wspólnego z używaniem języka. Byłoby to zachowanie przypominające naciśnięcie dźwigni przez szczura w celu otrzymania nagrody.

Zgadzam się także z twierdzeniem Skalskiego, że problem intencjonalności pojawia się już wówczas, gdy dziecko sięga ręką po smoczek. Świadoma intencjonalność wyrażająca się za pośrednictwem języka nadbudowała się na bezwiednej intencjonalności, a język wyrastał z już posiadanych umiejętności i nadbudował się (superweniował) na nich podobnie, jak kończyny gadów przekształciły się w skrzydła ptaków, mimo że w istotny sposób różnią się od nich.

Na zakończenie pragnę podkreślić, że emergencja w moim rozumieniu, odnosi się do tego samego, co Skalski określa mianem „rewolucyjnego przełomu". Elementy wykorzystywane do zrealizowania rewolucyjnego przełomu istnieją już wcześniej i po części określają charakter tego przełomu. Małpy nie szukały świata dla gotowego języka, lecz szukały elastycznego narzędzia ułatwiającego im przeżycie w gotowym, lecz nieustannie zmieniającym się świecie. Podobnie jak inne istoty żywe, muszą one „szybko biec", aby pozostać na tej samej pozycji wśród ścigających się, a system porozumiewania się jest niezwykle skutecznym narzędziem, ułatwiającym zarówno zachowanie pozycji, jak i pozostanie wśród ścigających się.

Przyznaję także, że druga faza dyskusji z moim oponentem nie była już źródłem irytacji, lecz źródłem namysłu nad tym, jak ogromne możliwości strukturalizacji wiedzy stwarza język.